

marcin pieczyrak

PRZYJAŹŃ I CIENIE:

KSIĄŻKA PRZYBYCIA

Poniższy fragment pochodzi z książki, która wydana została własnym sumptem przeze mnie jako Autora i jest moją własnością. Udostępniam go tutaj wyłącznie do użytku ściśle „wewnętrznego i prywatnego" czytelników: proszę, szanując prawo autorskie, nie używać go w celach komercyjnych –



Ale tam przynajmniej będę mógł zobaczyć, jak wygląda prawdziwe życie – powiedział Łukasz. I widać było – przynajmniej ja to widziałem dość wyraźnie – że sam bardzo chce wierzyć w to, co mówi; że jest prawie pewien, że mówi to, co chce powiedzieć.

– Prawdziwe życie? – Robert uśmiechnął się. – Tu jest prawdziwe życie.

– Tutaj? Tutaj może więcej jest prawdy niż prawdziwego życia – zażartował Łukasz. – I o tym właśnie mówię. Niby już wiemy wszystko, co i jak: powiedzieli nam – i wiemy! A prawdziwego życia, jak ono naprawdę wygląda, może jeszcze na oczy nie widzieliśmy, bośmy w książkach jedynie czytali: jak powinno być. Ale od *sollen* do *sein* nie ma koniecznego przejścia – tak nam mówili, prawda? – powiedział Łukasz, który „tak poza tym" to nie znał niemieckiego, przynajmniej nie aż tak, żeby móc w tym języku zapytać o drogę do dworca kolejowego albo o to, która jest godzina. – I ja też nie z musu to robię, ale dobrowolnie: wracam – żeby zobaczyć, jak jest. Naprawdę.

Tak powiedział. Trochę przesadził mówiąc, że jego decyzja o powrocie jest całkiem dobrowolna i nie pod przymusem podjęta, ale przynajmniej wiedział o tym, że przesadza – powiedział tak, bo chciał w ten sposób dodać sobie trochę odwagi w sytuacji, kiedy wcale aż taki odważny i pewny siebie nie był. Zresztą Robert też mógł o tym wiedzieć: że Łukasz nie całkiem w sposób wolny zadecydował o swoim powrocie.

Stali na przystanku autobusowym koło uczelni, którą obaj mieli wtedy już za sobą. Podczas pięciu lat studiów zdążyli trochę przyzwyczaić się do siebie i może nawet polubić, spotykali się ze sobą dość często i nieraz zdarzało im się dyskutować zawzięcie o rzeczach najważniejszych, dużo ważniejszych niż codzienny, pospolity świat, który ich *otaczał*, ale o którym wtedy mogli jeszcze całkiem bezkarnie sądzić, że jest on w zasadzie tylko jakby mało udaną podróbką prawdziwie sensownej rzeczywistości i ja-

ko taki nie zasługuje na to, by traktować go całkiem poważnie. Byli wtedy studentami filozofii. Ich spotkania, ze sobą nawzajem tak samo jak i ze światem w ogóle, miały charakter najczęściej raczej czysto *teoretyczny*. Teraz jednak studia mieli już za sobą, natomiast przed sobą – pytanie bardzo praktyczne: i co dalej?

Po swoim ostatnim egzaminie w ramach studiów, czyli po egzaminie magisterskim, Łukasz poszedł oczywiście z kumplami na piwo – było to niemal tak samo regulaminową częścią całej ceremonii, jak wcześniejsze ostatnie oficjalne spotkanie z profesorami. I wtedy, kiedy mógł to już powiedzieć, bo atmosfera zrobiła się wystarczająco nieoficjalna i niepoważna, Łukasz powiedział kumplom, jaka myśl przyszła mu do głowy w chwili, gdy ogłaszano mu wyrok: „I kiedy powiedzieli mi, że już po wszystkim i że już jestem magister, wtedy pomyślałem: Teraz, dopiero teraz mógłbym naprawdę… zacząć studiować; teraz czuję się dopiero do tego – przygotowany". Poczuł się, jakby go *wyrzucono ze studiów* – bo w jakimś sensie tak właśnie się stało: już nie był studentem. „A ten mój magister? Ja go przecież zwyczajnie wysie-dzia-łem!" – wyznanie lekko pijanego Łukasza nie stało się jednak tematem żadnej poważniejszej dyskusji, przeszło prawie niezauważone, może dlatego, że nikt nie był zainteresowany akurat *taką* prawdą na temat ich wspólnego losu: wszyscy biorący udział w tej radosnej popijawie byli przecież podobnie jak Łukasz już właściwie tylko *byłymi studentami* – i widocznie nikomu z nich nie za bardzo podobała się wizja przyszłego życia w zwykłym, codziennym świecie, którym dotychczas mogli tak niby mądrze pogardzać.

– Nauczyli nas tylu mądrych słów! – powiedział Łukasz. – Znamy je na pamięć i wiemy, kiedy którego użyć, żeby wyszło na to, że wiemy lepiej. Potrafimy, gdyby trzeba było, pisać mądre teksty, bo pełno w nich przypisów, które mają dodatkowo dowodzić naszej mądrości: wiemy, na jakie nazwisko się powołać, żeby to, co chcemy powiedzieć niby od siebie, zabrzmiało mądrzej i mocniej. A tymczasem prawdziwe życie może świetnie daje sobie radę bez tych wszystkich aż za mądrych przypisów? – Łukasz uśmiechnął się drwiąco. – Że powiem jak mądrala z dyplomem, no bo przecież mam dyplom, jestem magister: może życie *istoczy*

się mocą własnej natury, a przypisy, które my do niego przylepiamy, to często nic więcej jak tylko nasze… wynaturzenia?

– Takie życie też jest możliwe, tak – zgodził się Robert. I widać było, że nie zgadza się. – Ale takie życie jest bezmyślne. A przecież żyć życiem bezmyślnym człowiekowi nie warto. Każda myśl, to właśnie przypis do tego, co się w życiu wydarza. Zresztą przecież i ty w tej chwili właśnie to robisz: coś do życia dopisujesz – jakieś myśli.

– Ale te przypisy, no właśnie: może to, co przedstawiamy jako nasze myśli, nie jest tak naprawdę nasze! – Miło im się gawędziło na tym przystanku. Łukasz nie chciał Roberta przekonywać do czegokolwiek, chciał mu tylko opowiedzieć – o sobie. A żeby raźniej mu było mówić na ten temat, używał dla bezpieczeństwa liczby mnogiej. – Czy myślimy własne myśli, czy tylko powtarzamy, co nauczyliśmy się powtarzać, ale czego tak całkiem i do końca przecież jeszcze nie zrozumieliśmy, i udajemy mądrość, która nie jest nasza; którą żeśmy sobie tylko przywłaszczyli? Popisujemy się, przed innymi a może nawet sami przed sobą, umiejętnością produkcji przypisów, które mają świadczyć na rzecz niby naszej mądrości. Te wszystkie obce słowa, żeby było mądrzej – często w języku, który „tak poza tym", to jest dla nas obcy. Łacina, której uczyliśmy się w pocie czoła, żeby tylko zdać jakoś ten cholerny egzamin, ale której przecież nie opanowaliśmy w takim stopniu, żeby umieć naprawdę *czytać* i *rozumieć* w tym języku. Albo greka, której często nie uczyliśmy się wcale – bo nie była obowiązkowa – ale to jedno wiemy o niej, że „mądrze jest czasem użyć jakiegoś greckiego słowa" – bo przecież Sokrates, Platon, Arystoteles… O tym mówię. Że możemy już nie udawać; już nie musimy – zdaliśmy wszystkie egzaminy, na których to udawanie miało jeszcze jakiś sens. Teraz wreszcie możemy odważyć się i zaryzykować własnym rozumem: spróbować samemu coś poznać, powiedzieć, nawet jeśli… to, co wymyślimy, wcale nie okaże się aż takie mądre. O tym mówię. Że możemy wreszcie przestać udawać Greka – *nomen omen*!

– I wydaje ci się, że jak teraz wrócisz, to ci się to uda, tak? – zapytał Robert. – A wiesz, co mnie się wydaje? Że chyba nie doceniasz tego, co się stało – swojego wykształcenia; bo czy tego chcesz, czy nie, ono się stało – i już się nie odstanie…

– Nie wiem, jeszcze nie wiem, co mnie się wydaje – cicho roześmiał się Łukasz. – Ale wiem, że muszę wracać. A ty?

– Ja spróbuję zostać. – Robert uśmiechnął się. – Nie chcę wracać; nie po to tutaj przyjeżdżałem, żeby teraz stąd wracać: do czego?

– Do życia!

– Moje życie jest tutaj. Moje życie jest tu, gdzie ja jestem. Jeśli się uda, zrobię doktorat, zostanę na uczelni, a potem...

– A potem jako doktor, a później profesor – czego zresztą szczerze ci życzę, bo ty nadajesz się do tego i na pewno będziesz to robił dobrze (poważnie mówię i bez ironii, słowo daję!) – będziesz... produkował następnych magistrów, oby jak najlepszych. Pod twoją opieką studenci będą się uczyć (a przy okazji i ty sam będziesz wiedział coraz więcej i bardziej), które słowa są mądre, a które nie, po kim warto powtarzać, a po kim nie, czyich słów nauczyć się na pamięć... Żeby było mądrzej! Widzisz, ale ja – ja chyba nie nadaję się do tego.

– Dlaczego, może ty też byś się nadawał...

– Nie wiem – Łukasz wszedł Robertowi w słowo. Nie chciał, żeby Robert dokończył myśl: nie chciał jej usłyszeć. – Nie wiem, czy bym się nadawał. I już chyba się nie dowiem. – Rozłożył ręce jakby w geście bezradności wobec tego, co nieznane, po czym, uśmiechając się nieco ironicznie, zacytował z pamięci sławny tekst, zmieniając go trochę dla własnych potrzeb. – Bo oto już i czas odejść – mnie do bardziej zwykłego życia, a tobie – do jeszcze większej prawdy. Kto z nas idzie ku temu, co lepsze, tego nie wie jasno nikt – chyba tylko Bóg.

– Rzeczywiście, paru tekstów nauczyłeś się dobrze. – Robert pokiwał głową na znak uznania dla pamięci Łukasza. – Prawie słowo w słowo! A teraz te wszystkie słowa, i może nawet więcej niż tylko one, pójdą za tobą – nawet gdybyś tego nie chciał. Uważaj na nie. Tak, można powiedzieć: zostałeś zarażony.

– Chyba na-rażony – odparł Łukasz, wciąż się uśmiechając. – Mimo to jednak może i tak uda mi się jakoś... normalnie. Zresztą, jeszcze zobaczymy, co zobaczymy.

Nadjechał autobus, który jechał na osiedle, gdzie mieli swoje stancje: mieszkali blisko siebie. Okazało się jednak, że Łukasz wcale nie czekał tu na autobus, nie wybierał się do siebie, a jedy-

nie dotrzymywał towarzystwa Robertowi, do którego podszedł, bo zauważył go na przystanku, że stoi i czeka – mogli sobie pogadać chwilę. Teraz podał Robertowi rękę, zanim tamten wsiadł i odjechał, a następnie, gdy autobus już ruszył, poszedł z przystanku i wszedł do parku, który był zaraz obok. Szedł niespiesznie przed siebie: najwidoczniej donikąd mu się nie spieszyło.
[...]

***

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych, gdy po maturze Łukasz wybierał się na studia – czyli gdy wybierał także, na jakie studia się wybrać (bo przecież na jakieś studia trzeba iść) – pole manewru miał dość ograniczone. Świat wokół był w stanie na ogół byle jakim: wszystko działo się, a właściwie wegetowało i prawie *nie-działo-się* jakby bardziej siłą bezwładu niż w zgodzie z jakimś planem – i mogło się wydawać, że już zawsze tak właśnie będzie: byle jak i w sumie wszystko jedno jak. Pomysł Łukasza – że najlepszym *wyjściem* w tej sytuacji będzie właśnie ten uniwersytet: KUL – mógł więc wtedy wydawać się w sumie całkiem niegłupi, a może nawet najlepszy z możliwych: ta uczelnia bowiem, jako jedyna w Polsce nie tak do końca zależna od widzimisię władz państwowych, wydawała się (i taką też była, przecież) bardziej wolna i przez to też jakby bardziej *zagraniczna*. „Katolickość" w nazwie uniwersytetu wtedy nie budziła żadnych kontrowersji wśród obrońców wolności słowa i przekonań, a nawet przeciwnie, zdawała się być właśnie znakiem gwarancji, że tutaj można zaznać tej wolności więcej niż w „demokracji ludowej", firmowanej przez PRL. Z parasola ochronnego KUL-u ochoczo korzystali wtedy najróżniejszej maści „oporni" i niezadowoleni, nie tylko ci istotnie katolickiej proweniencji, ale także i inni teoretyczni poprawiacze świata, których zdaniem dzieło naprawy ludzkości niekoniecznie wymaga istnienia sił nadprzyrodzonych: zbieranina z całej Polski, niepewni prawie-marksiści, poszukujący krypto-agnostycy, ufni w naturalną wielkość człowieka humaniści, czy wreszcie mędrkujący fani lewackiej anarchii na melodię punk-rocka albo pogrobowcy rewolucji hipisowskiej, i Bóg jeden wie kto jeszcze – każdy z nich jednak, o ile tylko chciał zostać formalnie studentem tej uczelni, musiał legitymować się jakimś kwitem na swoje „katolic-

kie pochodzenie i wiarę w Boga"; i każdy z nich umiał taki kwit przedstawić. KUL to było miejsce jedyne w swoim rodzaju – wtedy.

I Łukaszowi udało się! – został studentem KUL, i to w dodatku jeszcze na wydziale, który oczywiście był najświetniejszy i najbardziej elitarny ze wszystkich, jakie tam były do wyboru: na filozofii. Został wybrańcem, a przynajmniej – podobnie zresztą, jak inni, którzy dostąpili tego wyróżnienia – mógł tak się czuć: że jest kimś więcej – bo jest „na filozofii na KUL-u". Podczas gdy na zewnątrz, poza murami uczelni, w której Łukasz znalazł tymczasem bezpieczne schronienie, władza ludowa wciąż jeszcze próbowała – chociaż już raczej z przyzwyczajenia bardziej i bez autentycznego przekonania – zachwalać samą siebie jako ustrój nie tylko sprawiedliwy, ale także „konieczny historycznie", Łukasz mógł słuchać na wykładach o tym, że „nie miał racji Hegel, gdy twierdził, że człowiek jest tylko trybem w machinie historii, która dzieje się w sposób konieczny i dlatego wszystko, co się w niej wydarza, jest racjonalne i jako takie słuszne – a przecież od Hegla wyszedł potem Marks i cała reszta, która, jaka jest, widać przecież gołym okiem: do niczego!" Uczono Łukasza, a Łukasz chętnie słuchał tych nauk, że *można myśleć inaczej* – i że wolność może być czymś więcej niż tylko „uświadomioną koniecznością" (znowu Hegel!). Mówiono Łukaszowi o rzeczach, o których wcześniej nie słyszał – o tym na przykład, że polityka w swojej najgłębszej istocie jest działem... etyki: że dobrym politykiem nie jest wcale ten, który wie, jak „zdobyć, a następnie utrzymać władzę" (jak twierdzą ci, którzy wierzą w to, że prawdę powiedział Machiavelli), lecz ten, który umie „roztropnie działać dla dobra wspólnego" (jak słusznie na długo przed Machiavellim twierdzili inni), a ostatecznym kryterium dobroci działania i jego celem jest dobro każdego człowieka *jako człowieka* (zresztą, o samej etyce wcześniej Łukasz też słyszał niewiele, prawie nic, że taka nauka w ogóle jest i... powinna być). Mówiono Łukaszowi też inne rzeczy: że wcale nie musi być tylko tak, że to „byt określa świadomość" – i tak dalej... coraz dalej od tego, co widać było gołym okiem, gdy tylko wyszło się z uczelni na ulicę.

Było odlotowo!

Łukasz żył jakby w innym świecie i nie całkiem w PRL-u. Dzię-

ki temu łatwiej mu było wytrzymać także i w tym świecie, który mimo wszystko jako jedyny był wtedy całkiem faktyczny, bo „wiedząc lepiej i więcej" mógł mniej przejmować się otaczającą go rzeczywistością, a nawet więcej: mógł patrzeć na nią z góry! Tak, Łukasz czuł się właśnie tak: jakby był ponad to – bo był przekonany, że przecież wie teraz więcej i lepiej! I mógł to mówić głośno, że już wie coraz więcej i lepiej, jaka jest prawda, która wyzwala: im lepiej umiał to powiedzieć, tym lepszym był studentem – teoretycznie.

W spadku po stanie wojennym, po tym, jak Generał spróbował siłą wziąć za mordę wszystkich, którzy „głośno gadali rzeczy niefajne dla ustroju i jego bezpieczeństwa", zostało Łukaszowi, zresztą nie tylko jemu, ale każdego, kto miał ochotę na wzięcie tego spadku, dość niejasne i logicznie cokolwiek podejrzane, bo paradoksalne pojęcie „emigracji wewnętrznej" – na KUL-u można było tę postawę praktykować całkiem wygodnie i w miarę bezpiecznie! KUL był jakby pół-legalną wyspą pół-wolności w ustroju pół-totalitarnym – tak to wtedy wyglądało – a Łukasz, jako student tej właśnie uczelni, mógł patrzeć na świat jakby był on też tylko pół-realny.
[...]

Po pierwszym roku, gdy przyjechali tutaj znowu po wakacjach – wtedy nagle, prawie niespodziewanie, najpierw słabo, ale potem już na całego czasy dostały zadyszki: znowu coś się zaczęło w Polsce dziać! Polska znowu zaczęła się burzyć: mówiło się coraz głośniej, że „potrzebne są zmiany i że tak, jak jest, być dalej już nie może" – Seba się cieszył, że „w końcu *im* się dostanie: już nie będą tacy mocni!". I rzeczywiście, wydawało się, że „oni" już nie są tacy mocni, że gonią widocznie resztką sił, skoro zgadzają się na rozmowy i – nie wykluczają zmian! Zaczęło się to wszystko już jesienią i ciągnęło dość jeszcze niemrawo przez całą zimę, a kiedy wreszcie na wiosnę powiało wolnością, wtedy Seba... zwiał! Przemycił ze sobą do Berlina Zachodniego jakieś dokumenty rodzinne, stwierdzające udział jego krewnego w walce Niemców przeciw reszcie świata podczas ostatniej wojny i – został Niemcem. Dziwny był ten jego wyjazd – kto by się czegoś takiego spodziewał,

akurat po nim i to akurat w takim czasie! – ale też wiele innych rzeczy i coraz więcej działo się wtedy w Polsce: na tle „wydarzeń historycznych" Seba przemycił swoje zniknięcie prawie niezauważenie. Wszędzie gadało się nagle dużo o demokracji i o wolności – i że od tego powinno być od razu lepiej. Ci, co dotąd rządzili niepodzielnie, usiedli do stołu z tymi, którzy, wcześniej tylko rządzeni, teraz także chcieli mieć udział w rządach. Stało się coś, co wcześniej – przynajmniej za życia Łukasza – nie miało miejsca: w demokracji ludowej władza zgodziła się na wybory, tak wolne i demokratyczne jak nigdy dotąd! I nic nie wydawało się wtedy ważniejsze od tych wyborów; nikt nie mógł pozostać obojętny wobec tego, co się zaczęło wyprawiać.

Łukasz z kumplami – chociaż starali się zachować *filozoficzny dystans* do sprawy i nie całkiem „iść za tłumem" – też dali się w to wciągnąć: całymi dniami, a wieczorami jeszcze bardziej, w oparach papierosowego dymu dyskutowali o demokracji, o tym, że wolność jest najważniejsza i jak to wszystko należy urządzić, żeby było naprawdę jak najlepiej – człowiekowi, i co to właściwie znaczy: dobro człowieka? Nawet Robert, który wśród nich wszystkich zdawał się być najbardziej nie z tego świata, miał coś do powiedzenia na ten temat, chociaż to, co mówił, brzmiało wtedy dość dziwne: „Ale sama demokracja jeszcze wcale całej sprawy nie załatwia... podobnie zresztą jak jej brak." I tylko Seby przy tych dyskusjach już nie było – nie doczekał; a pewnie gadałby i gadał, bez końca – tak jak przecież lubił to robić.

Tuż przed dniem prawdy pojawił się na mieście nawet sam Gary Cooper z plakietką „Solidarności", nieustraszony szeryf, który z plakatów zachęcał Polaków do odwagi, reklamując wolność, która każdemu należy się jak psu kość. Tych wyborów nie można było przegrać. I tak też się stało: dotychczasowa władza przegrała w tych wyborach wszystko, co wrzuciła do puli.

Czwartego czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm, powiedziała potem pani w telewizorze. I zaczęła się wolność, a wraz z nią – początek kapitalizmu. Ludzi poniosło! Uwolniono nie tylko słowo, ale także i czyn. Hobbyści wolności słowa mogli teraz do woli dyskutować w poszukiwaniu prawdy – i to właśnie robił Łukasz ze swoimi kumplami: ciągle dyskutowali

o prawdzie, o sprawiedliwości, i tak dalej – ale jeśli ktoś nie miał na to ochoty, nie musiał tego robić; mógł za to, nie tracąc czasu, zacząć na przykład robić pieniądze albo karierę w polityce, albo – cokolwiek. Cały kraj, jak długi i szeroki, z dnia na dzień zmienił się w jedno wielkie targowisko, gdzie – wydawało się – wszystko jest do pomyślenia i każdy towar jest dobry, jeśli tylko znajdzie swojego klienta: nagle sprzedawano i kupowano *wszystko*! Neofici kapitalizmu, których nagle zrobiło się wszędzie pełno, chcieli (i najwidoczniej wierzyli w to, że im właśnie to się uda) jak najszybciej dorobić się jak najwięcej – jak najlepiej wykorzystać dla siebie to, co być może drugi raz się nie trafi: szansę! Wszędzie, gdzie tylko się dało, początkujący biznesmeni rozstawiali łóżka polowe, na których wykładali swój towar, który mieli nie wiadomo skąd: proszki do prania, ręczniki, koszule, kasety, papierosy, buty, soki w kartonach... – nieważne skąd, ważne że jest. Państwo, które wcześniej ustalało ceny, godziny otwarcia i płace, i które chciało kontrolować wszystko, teraz jakby zupełnie przestało się wpieprzać między sprzedawcę a kupującego, i każdy mógł sam sobie i wedle własnego uznania być biznesmenem lub konsumentem, albo, co zdarzało się dość często, jednym i drugim naraz...

Gary Cooper, jako dzielny ale skromny szeryf, który zatrudniony został do tego, by przywrócić ludziom wiarę w siebie i wolność, po wykonaniu swojego zadania zniknął tak samo szybko i znienacka, jak wcześniej się pojawił – i została tu już tylko wolność, która, w porównaniu do tego, co było tu wcześniej, wydawać się mogła wprost bezgraniczna.

Każdy, kto tylko miał na to ochotę, mógł dostać paszport! – i pojechać zagranicę, żeby tam na własne oczy zobaczyć to, co wcześniej mógł sobie tylko wyobrażać: jak się żyje w lepszym, wolnym świecie. Oczywiście, jeśli do tego paszportu dostanie jeszcze wizę...

Łukasz był wtedy po drugim roku studiów, kiedy pojechali w trójkę – wszystko studenci filozofii – do Holandii: na wakacje i po pieniądze. To były niesamowite wakacje! Mimo że działo się to naprawdę, wszystko wyglądało jakby tylko pół-realnie! Najpierw trzeba było odstać swoje w kolejce po paszport – w tej kolej-

ce ustawiła się wtedy chyba cała Polska, jakby wszyscy musieli od razu stąd wyjechać, całkiem albo tylko trochę, ale jednak wyjechać. Potem trzeba było wykombinować skądś adres „jakiegoś Holendra, który wie, że jakby go o to zapytali, to on ma powiedzieć, że tak: że nas naprawdę do siebie zaprosił" – i pójść z tym do ambasady holenderskiej. Udało się: dostali wizy! A z tymi wizami w paszportach poszli z kolei do ambasady Niemiec Zachodnich, które były po drodze do Holandii – i też się udało: dostali wizy tranzytowe. 13 sierpnia 1989 roku wsiedli do pociągu, który przez noc zawiózł ich do Berlina Wschodniego w NRD (bo wtedy jeszcze było takie państwo: NRD, a dopiero dalej – RFN), skąd następnie chcieli pojechać, także pociągiem, dalej, do Magdeburga (też w NRD), skąd już były dwa kroki do granicy między NRD a RFN, po przekroczeniu której, już w wolnym świecie, dalej zamierzali podróżować autostopem. Taki mieli plan. Mogli wprawdzie jechać pociągiem od razu do „pierwszej miejscowości w RFN za granicą z NRD" – ta miejscowość nazywała się Helmstedt – ale wtedy za tę część drogi, którą pociąg jechałby już po ziemi zachodnioniemieckiej, musieliby zapłacić w markach zachodnich. Szkoda im było tracić prawdziwych pieniędzy na takie ekstrawagancje – chodziło o kwotę 2 marek, ale... zachodnich! – dlatego wybrali plan tańszy. Który, jak się miało okazać, kosztował ich całkiem sporo – ale za to ile się przy tej okazji dowiedzieli o świecie i ludziach! Oprócz prawdziwych pieniędzy (Łukasz miał 7 dolarów i 12 marek zachodnich) każdy z nich miał ze sobą też trochę marek enerdowskich, w sumie... grubo ponad tysiąc. W chwili wyjazdu nie bardzo się orientowali, ile za te pieniądze można kupić, wiedzieli tylko, że na przejechanie przez NRD „na pewno im starczy". Na miejscu okazało się, że są – bogaczami: królowie świata – forsy (enerdowskiej) mieli w bród! W Magdeburgu zjedli obiad w najlepszej restauracji, jaką znaleźli – za iście dyrektorski obiad dla trzech zapłacili raptem jakieś sto marek. Obsługujący ich enerdowski kelner starał się zachowywać uprzejmie, ale bez przesadnej życzliwości – a oni dali mu przecież taki napiwek! A potem – było już tylko gorzej. Z restauracji do dworca kolejowego, gdzie chcieli kupić bilety na pociąg do granicy, musieli wlec się ze swoimi wielkimi plecakami na piechotę, bo nie zatrzymała się żadna z taksówek, na które prze-

cież machali po drodze i które jechały puste. „Czy my jesteśmy niewidzialni? – zapytał Przemek. – Albo oni są wszyscy ślepi, *erdgeszosy* jeb…" Na dworcu przy kasie, gdy już się tam wreszcie dowlekli i chcieli kupić trzy bilety do granicy, okazało się, że są też chyba niemi – kasjerka tylko wzruszała ramionami, chociaż przecież próbowali jej to powiedzieć na tyle sposobów: po angielsku, po rosyjsku, nawet… po niemiecku – i nic, jakby baba była głucha jak pień! Chociaż przecież nie – bo innym sprzedawała bilety normalnie i najwidoczniej słyszała, co oni do niej mówili. „Chyba nas tutaj nie lubią" – zauważył filozoficznie Przemek, ale to nie popchnęło sprawy do przodu. Wymyślili, żeby kupić te przeklęte bilety przez „podstawionego enerdowca" – tylko skąd go wziąć? Zaczepili młodą dziewczynę, która… – co za ulga! – jednak rozumiała, co do niej mówili. Ale wtedy podeszła do niej jakaś starsza kobieta, jej mama albo ciocia, i gdy dziewczyna powiedziała jej coś w trzech słowach *po hitlerowsku*, baba szarpnęła dziewczynę i niemal siłą odciągnęła od chłopaków, jakby ci byli co najmniej zadżumieni. „No, mówiłem: erdgeszosy! – zupełnie spokojnie wkurzył się Przemek. Po czym powiedział wszystko, co miał do zakomunikowania społeczeństwu enerdowskiemu. – Uważajcie tylko, żebyście się tutaj wszyscy nie zesrali… ze strachu!" Trudno powiedzieć, ile zrozumiało społeczeństwo enerdowskie z tego, co mu miał Przemek do powiedzenia po polsku, ale wiadomo było, że biletów na pociąg do granicy, to chłopcy już tutaj raczej nie kupią – chociaż przecież tyle mieli forsy… No właśnie: tyle mają forsy! Mogą do granicy pojechać – taksówką. Może nie do samej granicy, ale przynajmniej do *autobany*, która tu jest niedaleko, tej z Berlina Zachodniego do Efu, a stamtąd – już jakoś się zabiorą. Przed dworcem był postój, wystarczyło wsiąść i jechać – tak myśleli. I znowu się pomylili. Facet z pierwszej taksówki, do której podeszli, wprawdzie zrozumiał, co do niego mówili – miał lepszy słuch niż baba w kasie biletowej – ale, gdy już mu całą sprawę wyłożyli, powiedział, że „trzeba najpierw iść do tego pana, który tam stoi, i jemu to powiedzieć". No więc poszli. Facet wysłuchał ich spokojnie i ze zrozumieniem – że chcą taksówką jechać do autostrady Berlin Zachodni–RFN, która leci tutaj pod miastem, i stamtąd zabrać się dalej stopem do RFN (mają na to wszystkie papiery i wizy, *alles in Ordnung* – pokazali

swoje papiery) – a potem.. zgodził się: mogą jechać! Ale nie tą taksówką, tylko tamtą – pokazał którą. Zapakowali się i pojechali. Taksówkarz przez całą drogę, a jechali jakieś pół godziny, prawie wcale się nie odzywał, chociaż chłopcy próbowali go zagadywać na różne tematy, z których żaden nie był, przynajmniej ich zdaniem, politycznie niepewny: że ładna pogoda, że dobry kurs mu się trafił, i tak dalej... – a facet tylko kiwał głową od czasu do czasu. Kiedy dojechali na miejsce, pomógł im wypakować plecaki z bagażnika, pobrał opłatę za kurs, i – trochę jakby w pośpiechu – pojechał z powrotem do Magdeburga. Taksówka jeszcze nie zdążyła zniknąć im z oczu, a już podjechał do nich... następny samochód: panowie po cywilu, ale na służbie. *Papiere, bitte!* – no to chłopcy im pokazali „papire", że przecież „alles-in-ordnung". Tajniak pooglądał papiery, oddał je chłopakom, a potem powiedział: *Verboten!* Ale co „ferboten", to już nie bardzo umiał im wytłumaczyć, albo oni nie bardzo potrafili go zrozumieć, bo funkcjonariusz państwa enerdowskiego mówił do nich wyłącznie po enerdowsku: *verboten*, *verboten*... – żeby na pewno to do nich dotarło, powtórzył to słowo chyba z dziesięć razy. W końcu jednak dał im spokój. Tajniacy wsiedli do swojego auta i odjechali. I nie usłyszeli już tego, co chłopcy mieli im ze swej strony do powiedzenia: „Ferboten! Sami jesteście ferboten!" Na własną rękę dowiedzieli się chłopcy, co jest tutaj na pewno *verboten*: że nikt jadący tą autostradą z Berlina Zachodniego nie może ich zabrać, bo każdy przy wyjeździe z Berlina ma wbite w papiery, ile osób wyjeżdża w danym samochodzie, a potem na granicy w Helmstedt musi być w tym aucie dokładnie tyle samo osób, ani mniej, ani więcej. Tylko Polak, z polskimi papierami i samochodem na polskich rejestracjach, który jedzie tędy do RFN, mógłby ich zabrać i przewieźć przez granicę – tak im powiedziano. Do wieczora łazili chłopcy po parkingu, szukając uprzejmego patrioty, który pomoże rodakom za granicą i wywiezie ich z NRD do lepszych Niemiec. Z pierwszym, który się wreszcie na to zgodził, pojechał Łukasz. Granica zaczęła się spory kawałek przed granicą: zapory przeciwczołgowe, zaorane pole wysypane piaskiem, zasieki z drutu kolczastego, i jak okiem sięgnąć nigdzie żywego ducha. A po drugiej stronie, gdy już puścili ich enerdowcy – budka z coca-colą i jakieś domki, dosłownie kilka

kroków od przejścia granicznego, a za nimi drzewa. Tak Łukasz zobaczył Zachód, po raz pierwszy w swoim życiu. Usiadł na krawężniku przy parkingu przed przejściem granicznym i zaczął czekać. Następny przybył Krzysiek, a na końcu Przemek, który pojawił się tutaj dopiero po północy, i dopiero wtedy, gdy byli znowu wszyscy razem, udali się na spoczynek. Poszli między drzewa za bungalowami i tam rozłożyli się wprost na trawie, noc była ciepła, zasnęli natychmiast... Kiedy obudzili się następnego ranka, okazało się, że „las", w którym zasnęli, to było zaledwie kilka drzew. Już mieli się stamtąd zabierać, żeby ruszyć w dalszą drogę, gdy otworzyły się drzwi najbliższego domku, a w drzwiach stanęła ta Niemka: zauważyła ich! Coś zaczęła do nich wrzeszczeć po swojemu, a potem, gdy widocznie zorientowała się, że chłopcy „nie bardzo po niemiecku", jakby zacięła się, wykrzykując w kółko tylko jedno słowo: *Tasse! Tasse!* – i wymachiwała do nich ręką. Pół roku lektoratu z niemieckiego wystarczyło akurat na to, żeby chłopcy zrozumieli, że ta Niemka chce od nich... filiżankę? Nie mieli przecież żadnej filiżanki. Łukasz odpiął od plecaka swój metalowy kubek i poszedł z nim do kobiety. Nie miał pojęcia, po jaką cholerę jej ta „filiżanka", ale też nie chciał się nad tym zastanawiać: jak już tak bardzo musi, to niech sobie ten kubek Brunhilda weźmie... i wsadzi! Ale niech już przestanie się drzeć! Kiedy przed nią stanął, kobieta uśmiechnęła się do niego. I wcale nie wyglądała jak hitlerowiec.

– *Mit oder ohne Zucker?* – zapytała, nalewając Łukaszowi do kubka gorącej kawy. Wtedy Łukasz pierwszy raz w życiu zobaczył na własne oczy Niemca, który się uśmiecha i który – wygląda jak człowiek.

A kiedy miesiąc później, po trzech tygodniach pracy „w tulipanach", a potem kilku rozkosznych dniach, podczas których puścili prawie wszystkie ciężko zarobione pieniądze, w drodze powrotnej z Holandii chłopcy znowu jechali przez Niemcy, trafili na jeszcze bardziej uprzejmą Niemkę – chociaż ta akurat była Turczynką – która najpierw powiozła ich do Hanoweru, a potem, gdy już tam dotarli, zaproponowała, że mogą, jeśli chcą, przenocować w mieszkaniu, które ona ma pod opieką: albo to było jej własne mieszkanie, albo tylko w nim sprzątała – w każdym razie miała

klucze i pozwoliła im przenocować. I wtedy przypomnieli sobie o Sebie. Przecież jeśli on *został Niemcem*, to najpierw pewnie wysłali go do jakiejś folks-szuli, żeby się tam nauczył na początek chociaż trochę swojej nowej ojczystej mowy, a jeśli oni są teraz w Hanowerze, to może Seba właśnie tutaj jest w jakiejś folks-szuli – tak to sobie wymyślili. I postanowili spróbować go poszukać – mieli na to cały dzień. Już trochę przyzwyczajeni do uprzejmości niemieckiej, zadzwonili na informację. Niestety, pani po drugiej stronie słuchawki powiedziała – głosem i owszem bardzo uprzejmym – że może im podać tylko adresy szkół, ale „po nazwisku" znaleźć konkretną osobę i powiedzieć, gdzie ona jest – nie może. Czyli jednak – znowu *verboten*! Dobrze chociaż, że przynajmniej te adresy dostali. Podzielili się nimi i każdy z nich pojechał do innej szkoły, żeby sprawdzić, czy może nie ma tam Seby. I każdy z nich wrócił z niczym: Seby nie znaleźli. A następnego dnia – po nocy spędzonej w mieszkaniu, które udostępniła im miła Niemka-i-Turczynka (która, nawiasem mówiąc, uspokoiła chłopców zapewnieniem, że nie boi się o nic, bo jakby co, to „jej mąż pracuje w *Kripo*") – ruszyli w dalszą drogę: do domu. I wtedy spotkali tę kobietę, która jeszcze nie była Niemką, ale już nie była Polką – ofiarę wolności za wszelką cenę.

– A wy co, tak tutaj – siedzicie i skręcacie sobie, tak? – zagaiła po polsku, przystając obok chłopców, którzy przykucnąwszy na chodniku robili sobie skręty z tytoniu, który kupili jeszcze w Holandii. Całkiem sympatycznie wyglądająca pani, na oko tylko kilka lat starsza od nich – ale na pewno jeszcze przed trzydziestką...

– Skręcamy – odpowiedzieli jej. – Papierosy za drogie, to skręcamy sobie...

– A tak poza tym, to co... tutaj robicie? – zapytała uprzejmie, cała rozpromieniona w uśmiechu.

– Do domu wracamy.

– Wracacie?! Do domu, to znaczy... – zrobiła minę, jakby sama nie chciała uwierzyć w to, co za chwilę powie – do... Polski? Do tego czerwonego... gówna?

Popatrzyli na nią zdziwieni. A ona na nich.

– Nie wierzę! – powiedziała i roześmiała się cokolwiek nerwowo. I powtórzyła: – Do tego czerwonego gówna! Ja przez to na-

wet sukienek czerwonych nosić teraz nie mogę, bo mi się źle kojarzy ten kolor, wszystko przez ten zasrany komunizm! Tyle mi on zabrał, zmarnował tyle życia. Dopiero tutaj, tutaj mogłam zacząć żyć jak człowiek... – To, co mówiła, brzmiało trochę dziwnie, a im bardziej starała się, żeby jej słowa brzmiały spontanicznie, tym bardziej słychać było, że ona właściwie bardziej re-cytuje, niż mówi, jakby odpowiadała w szkole, żeby pokazać, że dobrze odrobiła lekcje i zadany materiał przyswoiła sobie całkiem nieźle. Tylko w jakiej szkole jej takie zadanie dali?

Chłopcy popatrzyli na nią, nie mówiąc nic i już się do niej nie uśmiechali tak jak na początku.

– Zresztą, jak tam sobie chcecie... – powiedziała, jakby lekko zbita z tropu i zdziwiona, że jej nowy wspaniały światopogląd nie spotkał się z dobrym odbiorem. W sytuacji, która zrobiła się cokolwiek niezręczna, wciąż jednak próbowała się uśmiechać. – Ale jak chcecie, to jedźcie, pewnie. Ja w każdym razie... bym nie jechała. Za dużo... gówna! – Jeszcze raz powtórzyła to słowo. A najbardziej właśnie to „gówno" było słowem, które jakoś nie pasowało ani do jej wyglądu, ani do tonu jej głosu, a które mimo to całkiem skutecznie jakby brało ją w niewolę, rządziło nią. Kiedy je wypowiadała, jej twarz robiła się przez to już nie taka ładna, a jej głos brzmiał już nie tak przyjemnie. – To już wolę tutaj, u tych *helmutów* siedzieć niż tam...

Wciąż nie odzywali się, tylko patrzyli na nią.

– Ale przecież ja też... jestem Polką – powiedziała, uderzając w inny ton. Mówiła teraz spokojniej, ciszej i z nutką jakby smutku w głosie. – Ale czy to znaczy, że miałam przez to do końca życia jeść chleb z pasztetową i harować jak wół za pieniądze, które mi nawet do połowy miesiąca potem nie wystarczą? Co jest złego w tym, że chciałam, żeby... było mi lepiej? Łatwo wam mówić. Ale co wy wiecie?

A oni – przecież nic nie mówili. Patrzyli tylko...

– Zresztą – wróciła do poprzedniego tonu – jak sobie chcecie, wasza sprawa! Chcecie tam wracać, droga wolna – i krzyż na drogę. Ale ja nie muszę – i nie wracam. Powodzenia wam życzę i dużo siły... w tej *waszej* Polsce! – powiedziała i już nie było. Obróciła się na pięcie i poszła sobie. Do Niemiec, a może tylko... do *helmutów*, za którymi też przecież aż tak bardzo nie przepadała?

Milczeli jeszcze czas jakiś, odprowadzając ją wzrokiem.

– A może trzeba było – odezwał się w końcu Przemek, a w jego głosie słychać było jakby troskę – babę po prostu... udusić?

– Oczywiście dla jej dobra – podchwycił Łukasz, uśmiechając się jakby z wyrozumieniem. – Żeby się już dalej nie męczyła, biedaczka.

– Ale trochę racji miała. Urodzić się Polakiem, to jest rzeczywiście trochę... gówniana sprawa.

– A ciekawe, co by na ten temat miał dzisiaj do powiedzenia... Seba.

– Może to i lepiej, żeśmy go nie znaleźli – tutaj...

A jednak spotkali się jeszcze z Sebą; on sam do nich przyszedł. Jesienią, gdy już rozpoczął się kolejny rok akademicki, pewnego dnia dowiedzieli się od kolegi, z którym Seba wcześniej mieszkał razem na stancji, że „Seba przyjeżdża" – i że chciałby się spotkać z dawnymi kumplami. Przygotowali się wtedy na jego przyjęcie najlepiej jak umieli: od jednego z miejscowych kumpli (mieli już takich) pożyczyli hitlerowski hełm, który tamten miał w domu jako pamiątkę z wojny, na której osobiście nie był, ale która i tak przecież jakoś na niego działała. Przyjęli Sebę po pańsku: mało mówili, za to piwo lało się strumieniami. A kiedy Seba powiedział w pewnej chwili, że teraz ma to w papierach czarno na białym, że „jest obywatelem Europy, prowincja: *Dojczland*" – wtedy założyli mu na łeb ten hełm: żeby poczuł się jak prawdziwy Niemiec! Śmiali się i Seba też się śmiał, i widać było, że bardzo chce wyglądać na wesołego. Nawet mu się to udawało: w jego oczach wciąż jeszcze było coś z dawnej, całkiem niewinnej beztroski. I wtedy padło to pytanie:

– Seba, a co z duszą?

– Teraz... będę samochodami handlował! – roześmiał się na pożegnanie. – Dusza umarła! – I dodał w nowym języku:– *Die Seele ist tot*. – Śmiał się jak pijany. Ale mógł się tak śmiać, miał do tego prawo i wystarczający powód: bo naprawdę był pijany.

– Ja-ja... szlisen-szlisen, nycht szysen! – dodał Przemek.

Impreza się skończyła. Seba wyjechał – żeby odtąd żyć dalej już inaczej, bardziej po niemiecku – a oni zostali tutaj, na miej-

scu, i w dalszym ciągu byli studentami filozofii. I jakby wcale im się nie spieszyło do tego, żeby postawić na duszy krzyżyk i pochować ją jako nieżywą ani żeby zrezygnować z wiary w to, że dusza – nawet jeśli nie do końca wierzy się w jej istnienie, bo przecież nie ma niezbitych dowodów na to, że coś takiego w ogóle jest w człowieku – jest mimo wszystko ważna i ma znaczenie w życiu każdego człowieka.

Tymczasem wszędzie wokół coraz bardziej zaczynał się nowy świat. I mówiono, że tym razem będzie już na pewno lepiej. Że nie ma już tego, co było dotąd, i że teraz będzie w końcu inaczej; że wszystko się zmienia i idzie w dobrym kierunku, nareszcie; że teraz także tutaj naprawdę kończy się ta wojna, która dla innych, tam na Zachodzie już dawno się skończyła. Tak mówiono. A z drugiej strony, gdy się patrzyło na to tylko własnymi oczami, można było odnieść wrażenie, że nowa sytuacja, jaka nagle i dość niespodziewanie zapanowała w Polsce – i która przebojem podbiła i porwała za sobą wszystkich – będzie trwać wiecznie jako właśnie taka wiekuista prowizorka, jakby *okres transformacji*, jak to zaczęto wtedy nazywać, wbrew własnej nazwie miał być epoką, która nigdy się nie skończy; innymi słowy, że nagła zmiana, jakiej uległa dotychczasowa rzeczywistość, była faktycznie *cudowna*, czyli natychmiastowa i zasadniczo – od razu całkowita. Przynajmniej Łukasz zdawał się patrzeć na to właśnie w ten sposób: że co się miało stać, to już się stało, a reszta – to drobiazgi, które same jakoś się ułożą i dopasują do nowej rzeczywistości. Czyli – nie bardzo myślał o przyszłości, podobnie zresztą jak i jego koledzy.

Jako studenci filozofii – bo przecież to jedno się nie zmieniło: nadal nimi byli! – chociaż nie pozostali całkiem obojętni wobec tego wszystkiego, co „się zaczęło dziać", stali jednak wciąż trochę jakby z boku – skąd mogli patrzeć na świat *bardziej teoretycznie*. I mogło im się wydawać, że oni wcale nie muszą – jeśli sami nie mają na to ochoty – „aż tak bardzo się *transformować*", a już na pewno nie tak jak... *ci wszyscy* inni.

Jesienią 1989 roku, w listopadzie i w Berlinie runął Mur – niemożliwe stało się faktem!

Tymczasem w Lublinie, podobnie zresztą jak i w całej Polsce, na chodnikach ludzie wciąż wystawiali się z rozkładanymi łóżkami

polowymi, na których wyłożone mieli co kto akurat miał do sprzedania – i każdy próbował zarobić parę złotych.

Na wiosnę wykiełkował pomysł, że mogliby chłopcy jeszcze raz pojechać do Holandii, ale tym razem już na dłużej – żeby zarobić większe pieniądze. Wezmą urlop dziekański i wyjadą na cały rok – będzie dobrze. Złożyli podania do ambasady holenderskiej o wizy, pewni, że wszystko pójdzie tak samo bezproblemowo jak poprzednim razem, a zaraz potem złożyli podania do dziekanatu o urlop dziekański. Ich prośba o udzielenie urlopu dziekańskiego została rozpatrzona pozytywnie, natomiast podania o przyznanie wiz holenderskich – zostały odrzucone. Niemożliwe! – ale wtedy przecież wiele niemożliwych rzeczy potrafiło stać się faktem. Chłopcy złożyli podania o wizy amerykańskie – i dostali je! Na wszelki wypadek nie zastanawiali się wtedy za bardzo nad tym, czy tym razem nie wybierają się może jednak *o jedną granicę za daleko*...

Tymczasem w Lublinie, podobnie zresztą jak i w całej Polsce, na chodnikach ludzie wciąż wystawiali na rozkładanych łóżkach polowych zagraniczny towar na sprzedaż...

Po zdanych egzaminach sesji letniej, zanim rozjechali się każdy w swoją stronę, poszli w kilka osób z uczelni do pobliskiego parku, gdzie przy wejściu ustawił swoje łóżko polowe biznesmen-pierwiosnek, który w ofercie miał coś naprawdę niecodziennego, z czym chłopcy wcześniej się nie spotkali: wina w papierowych kartonach – tanio. Z papierowej butelki, i to w dodatku kwadratowej, to jeszcze nie piliśmy, zauważył jeden z nich. Kupili jeden karton – na spróbowanie; albo nie, weźmy od razu dwa. W parku rozłożyli się na trawie i znowu trochę z boku tego, co się wszędzie naokoło wyprawiało – tak było im najwygodniej.

– I cóż po poecie w czasie marnym? – powiedział Robert, a ci, którzy z nim tam wtedy byli, wśród nich także Łukasz, już wiedzieli, że mniej w tym pytaniu jest pytania, a więcej Hölderlina; że Robert – który lubił czasami *polecieć Hölderlinem* – tak naprawdę wcale nie pyta, tylko mówi, stwierdza fakt: co za dom wariatów!

– Tak... – odezwał się Łukasz – w całym tym zamieszaniu pewnie paru poetów się nie urodzi, umrą w wieku prenatalnym;

albo popełnią samobójstwo nie wiedząc nawet, kiedy i jak to sobie zrobili.

– Ale winko, trzeba przyznać – zauważył Przemek – przednie.

– Jesteśmy w końcu w swoim własnym domu – powiedział Łukasz, naśladując głos aktora, który właśnie tymi słowami z telewizyjnego ekranu kilkakrotnie zwracał się z apelem do ludności wolnego kraju po wyborach, do wszystkich i do każdego z osobna. – Nie stój, nie czekaj... – Łukasz uśmiechnął się i zamiast słowa „pomóż", jak było w oryginale, dodał własne zakończenie – usiądź sobie, daj spokój!

– No, nie można powiedzieć, żeby smakowało... *perfidnie*.

Seba! Seba tak mówił, to było jego słowo: „perfidnie". Że te wina tak dziwnie są kapslowane, że zawsze pierwszy łyk smakuje perfidnie, ale potem – już jest lepiej; i to też tylko pierwsze z nich jest takie dziwne, następne już nie. Tak mówił – zanim wyjechał. A potem, gdy wyjechał – już go nie było.

– Dusza umarła, powiedział Seba. I umarł – powiedział Łukasz. Jeden kartonik po winie był już pusty. – Ciekawe, czy teraz, po tej śmierci mu lepiej... się żyje?

– No, ma już może mercedesa... Albo przynajmniej taki plan, żeby go mieć. I inne patrzenie – żeby żyło się lepiej. I więcej świata.

– Chyba: więcej światła? Jak powiedział Goethe: *mehr Licht!*

– A po co światło! W taki dobrobyt – można w ciemno iść! A może nawet... tak właśnie lepiej: z zamkniętymi oczami?

– Bo jaką korzyść odniesie człowiek, choćby świat cały zyskał, a na duszy swojej szkodę poniósł? – Robert uśmiechnął się ironicznie. – Dusza umarła. Ale *się*... wciąż jakoś żyje. I to nawet chyba coraz bardziej.

Żartowali sobie, trochę cierpko. I nikt Seby nie żałował, nie zastanawiał się nad tym, że może mu tam *w sumie* nie będzie wcale tak dobrze i może jednak dusza, nawet jeśli nieżywa, będzie go czasem boleć. No ale w końcu sam tego chciał – to teraz niech ma. I już: był Seba i nie ma Seby, koniec- -kropka.

– A ty? – zapytał Łukasz Roberta. – Bo też wziąłeś urlop, prawda?

– Ja do Anglii – odpowiedział Robert – też na rok.